

Przełożyła Agnieszka Kluba
(Instytut Badań Literackich PAN)

Spółeczny konstrukcjonizm: filozofia dla uniwersyteckiej posady¹

Niezależnie od zróżnicowania, do którego nawołuje się dziś powszechnie na wydziałach humanistycznych, jeśli idzie o koncepcje wiedzy, przeważa jeden punkt widzenia: społeczny konstrukcjonizm. To prosty system przekonań ufundowany na podstawowym twierdzeniu, że wiedza nie jest nigdy prawdziwa *per se*, lecz prawdziwa zależnie od kultury, sytuacji, języka, ideologii lub innych społecznych uwarunkowań. Te slogany krążą wszędzie – od posiedzeń komisji po konferencyjne programy. Truizmy w rodzaju „wiedza jest konstruktem” lub „nie ma ucieczki od przygodności” powtarzają się w przedmowach książek i w nadsyłanych do druku pracach tak, jakby ich przepowiadanie było warunkiem publikacji. Profesorowie, którzy wciąż toczą „kulturowe wojny” przeciw prawicy, żyli się z hasłem: „Zawsze przykładaj historyczną perspektywę!”. Neopragmatyści, poststrukturaliści, marksiści i feministki nalegają na przyjmowanie założenia o sytuacyjnej podstawie wiedzy, uznając konstrukcjonistyczną przesłankę za kamień węgielny postępowej myśli i społecznych reform. Doktoranci wypowiadają jako swoją dewizę frazesy o podmiotowej perspektywie i antyesencjonalizmie tak, jakby przechodzili ceremonię inicjacyjną, starając się sprostać wymaganiom przyjęcia do zawodu i ucząc się pilnie jego narzędzi. Konstrukcjonistyczny punkt widzenia funkcjonuje jako linia partyjna, spoiwo plemienne pozwalające odróżnić się profesorom humanistyki od kolegów ze szkół biznesu, laboratorium, kaplicy czy centrum komputerowego, którzy w większości uważają, że przynajmniej jakaś część wiedzy pozostaje niezależna od społecznych uwarunkowań.

Z tych względów błędem jest traktować propagowany na uniwersytecie społeczny konstrukcjonizm jako filozofię. Mimo iż pogląd ten sprawia wrażenie sądu epistemologicznego, wypełnionego elokwentnymi zaprzeczeniami negującymi istnienie obiektywizmu, prawdy i faktów, a zarazem wzmocnionego odwołaniami do filozoficznych cytatów („Jak mówi Nietzsche...”), mających świadczyć o zaawansowanym wtajemniczeniu, jego rzecznicy wyznają swoje przekonania w większości przypadków w zgoła niefilozoficznym stylu. Kiedy ktoś wyznaje swoje przekonania w sposób filozoficzny, nie waha się poddać ich kontrargumentom oraz dowodom świadczącym przeciwko nim, a jednocześnie stara się zgromadzić jak najwięcej racji i dowodów za. Jednak w realiach akademickich idee konstrukcjonistyczne nie są otwarte na dyskusję. Uchodzą za mądrość

¹ Artykuł opublikowany pierwotnie w „Partisan Review” 68, nr 2 (wiosna 2001), przedrukowany w zbiorze *Theory's Empire. The Anthology of Dissent*, pod red. D. Patai i W. H. Corrala, Nowy Jork 2005. Publikacja tłumaczenia za zgodą autora.

społeczności oraz za artykuły wiary. Kiedy pewien krytyk wystąpił do PMLA [Publications of the Modern Language Association of America] esej, w którym ganił konstrukcjonistów za to, że nie szukają argumentów popierających ich stanowisko, Richard Ohmann odparł te zarzuty, stwierdzając w opinii wydawniczej, że wobec powszechnego akceptowania idei konstrukcjonizmu przez akademików nie ma potrzeby, aby poszukiwać uzasadniających go racji. Fraza z książki *Epistemology of the Closet* Eve Sedgwick dobrze streszcza tę naiwność. Odwołując się do argumentu Foucaulta, że „zachodnia kultura umieściła to, co nazywa seksualnością, w coraz bardziej uprzywilejowanej relacji do naszych najbardziej cenionych konstruktów tożsamości, prawdy i wiedzy”, Sedgwick oznajmia, że będzie postępować „w zgodzie z pokazową realizacją Foucaulta, której wyniki uznane zostaną za aksjomatyczne (...)”. Ten empiryczny język brzmi dziwnie w zastosowaniu do Foucaulta. Tylko ci, którzy zdążyli już przyjąć foucaultowską perspektywę za własną, mogą traktować spekulacje z *Historii seksualności* jako „pokazową realizację” prowadzącą do „wyników”. Bez względu na to, jak kontrowersyjne są twierdzenia Foucaulta i jak często historycy, antropolodzy oraz filozofowie poddawali je dyskusji, dla Sedgwick są one aksjomatami, punktami wyjścia dla dalszych dociekań. Choć Sedgwick sugeruje, że idee Foucaulta mają jedynie tymczasowe zastosowanie – wszak stwierdza „uznane zostaną” – mimo wszystko umieszcza je na początku i w żadnym momencie nie zatrzymuje się, aby zapytać: „a co, jeśli są błędne?”. Tego rodzaju konstrukcjonistyczne poglądy są tak dalece zakorzenione w sposobie myślenia wielu współczesnych humanistów, że nie zadają sobie oni nawet trudu, aby popierać je jakimiś dowodami. Poza kilkoma zbliżającymi się do emerytury humanistami oraz filozofami realistami, wyrażającymi stanowczą odmowę, akademicy przyjęli konstrukcjonistyczne przesłanki jak nauczanie katechizmu, jak aksjomaty, które muszą zostać przyswojone przez każdego, kto ma zostać wprowadzony do grona profesorów. Przekonanie, że wiedza jest konstruktem, że prawda, dowody, fakty oraz wnioski podlegają wspólnie kategorii lokalnej interpretacji i że owe interpretacje są mniej lub bardziej słuszne ze względu na interesy, które zaspokajają, to wyraz zawodowego nawyku, a nie intelektualnej tezy.

Instytucjonalnej natury konstrukcjonizmu dowieść można poprzez ukazanie, jak łatwo daje się go zakwestionować. Jego słabość jako epistemologii polega na tym, że można zgadzać się z podstawowym założeniem wiedzy jako konstruktu, a zarazem nie zgadzać się z konkluzją, jakoby w związku z tym nie był możliwy obiektywizm, jak również nie podzielać przekonania, że to, co składa się na wiedzę, miałoby być zależne od społecznych uwarunkowań posiadacza owej wiedzy. To oczywiście, że wiedza jest skonstruowana. Musi być wyrażona w języku, metodycznie skomponowana, wyobrażona w formach dostępnych umysłowi, a wszystko to jest historycznie zrelatywizowane. Konstrukcjonisci z tego, że wiedza materializuje się w strukturach poznawczych i językowych, podlegających społecznym uwarunkowaniom, uczynili przekonanie, że wiedza nie ma prawa tych uwarunkowań przekraczać. Przeświadczenie, że wiedza nie może przekroczyć warunków towarzyszących jej pochodzeniu, bierze się z poglądu, iż poznanie nigdy nie jest niewinne, że z poznaniem wiąże się zamysł i pragnienia kształtujące sam proces tworzenia wiedzy, że dowiadывanie

się ma zawsze instrumentalny cel. Ten ludzki aspekt jest lokalny i sytuacyjny, przekonują konstrukcyjniści, widząc w nim historyczny kontekst wiedzy, poza którym nic nie może nadać jej jakiegś bardziej zasadniczej i ogólnej gwarancji. Nawet najbardziej ahistoryczny rodzaj wiedzy – reguły logiki, matematyki i nauki – mają, ich zdaniem, społeczną podstawę, przemilczaną przez myślicieli, którzy wyabstrahowali tę wiedzę z jej prawowitego usytuowania i używali jej dla własnych celów. Dlatego Martin Heidegger twierdził w znanej wypowiedzi „(...) prawa Newtona nie były przed Newtonem ani »prawdziwe«, ani »fałszywe« (...). Dzięki Newtonowi prawa te stały się prawdziwe (...)”². Myślmy, że prawa poprzedzały koncepcję Newtona jedynie dlatego, tłumaczy Heidegger, że tego rodzaju byty „ujawniają się” w ten sposób.

Dlaczego jednak choć prawa Newtona pojawiły się w określonym historycznym momencie, w umyśle jednego człowieka, mielibyśmy zakładać, że są one czymś nierozdzielnie przynależnym do tego momentu? Istnieją liczne dowody na to, że prawdziwość praw Newtona pozostaje niezależna od jego umysłu, języka, klasowej przynależności, wykształcenia itd. Prosty fakt, zgodnie z którym ludzie mówiący innymi językami i wywodzący się z innych kultur stosują owe prawa z powodzeniem, dowodzi ich transhistorycznego i ponadkulturowego potencjału. Inżynierowie i fizycy potwierdzają prawdziwość tych praw codziennie, nie wiedząc nic na temat okoliczności, które towarzyszyły Newtonowi, kiedy dokonywał swoich odkryć. Trzysta lat eksperymentów i rozwój teorii spowodowały modyfikację praw Newtona jedynie o tyle, o ile wyznaczyły limit zakresu ich zastosowania w fizyce. Mówiąc najkrócej, prawa Newtona zostały potwierdzone w nieskończenie wielu sytuacjach, w rozmaitych miejscach i epokach. Owszem, naukowcy i inżynierowie dokonali dehistoryzacji newtonowskiej wiedzy, sprowadzili ją do kilku stałych zasad (nikt przecież nie czyta *Principiów*). A jednak – chociaż wyabstrahowane oraz wygodnie skrojone – prawa fizyki newtonowskiej nadal mają wartość twierdzeń logicznych, odsyłających do pewnej prawdy. Owa wartość nie odnosi się do świata Newtona, lecz do tego, czy jego prawa pozwalają trafnie przewidzieć wyniki zajęć fizycznych, na ile wiarygodnie stawiają czoła testom i jak użyteczne okazują się w różnych dziedzinach fizyki. Jeśli myśli się inaczej, odrzuca się rozróżnienie między treściami składającymi się na wiedzę a kontekstem, w których powstały. To stary błąd logiczny, określane precyzyjnie jako sofizm psychogenetyczny [*genetic fallacy*]: mylenie kontekstu odkrycia z kontekstem uzasadnienia. Społeczni konstrukcyjniści przeocząją różnicę między odkryciem (okolicznościami towarzyszącymi powstaniu danej koncepcji) a uzasadnieniem (ustaleniem jej prawdziwości). Według nich oddzielanie prawdziwości danej myśli od jej pochodzenia pozbawia ją historycznej realności, a zarazem trąci formalistycznymi metodami oraz mandaryńskimi motywacjami. Konstrukcyjniści przyznają, że rozróżnienie na odkrycie i uzasadnienie ma logiczne podstawy, ale sądzą jednocześnie, iż w pewnym historycznym kontekście może to prowadzić do swego rodzaju zaniedbania. Ich zdaniem, polega ono na tym, że abstrakcyjne rozważanie takich koncepcji, jak prawa Newtona pozwala zapomnieć, na przykład, o rasowych, klasowych i genderowych przywilejach,

² M. Heidegger, *Bycie i czas*, tłum. B. Baran, Warszawa 1994, s. 319.

które umożliwiły mu prowadzenie badań nad opadającymi ciałami. Epistemologicznie ripostują, że historyczne dociekania to jedno, a ustalanie prawdziwości to drugie, lecz dla badaczy ukształtowanych pod wpływem Foucaulta czy Rorty'ego ten podział nigdy nie jest czytelny i jasny. Historia nauki ujawnia zbyt wiele przykładów idei uznawanych za prawdziwe, które okazywały się po czasie jedynie usprawiedliwieniami społecznych nierówności, mającymi raczej walor instytucjonalnie użytecznych rozwiązań niż wartość twierdzeń logicznych, odsyłających do pewnej prawdy. Tylko dokładne rejestrowanie pogmatwanego rozwoju myśli chroni uczonych od nadużywania jej poszczególnych koncepcji i od wyzwalania ich ukrytych, a niekiedy zgubnych potencjałów. W obawie przed tego rodzaju ryzykiem kryje się rzeczywiste źródło zaangażowania, z jakim formułują swoje poglądy społeczni konstrukcjoniści – ich motywacją nie jest filozoficzne przekonanie, lecz poczucie moralnego zobowiązania wobec ideału społecznej sprawiedliwości.

Weźmy inny znany przykład, popularne studium teorii literatury autorstwa Terry'ego Eagletona *Literary Theory: An Introduction*, po raz pierwszy wydane w 1983 roku. W przedmowie do tej napisanej w czytelny sposób rozprawy można znaleźć zapewnienie, że „Celem tej książki jest w miarę wyczerpujące omówienie nowoczesnej teorii literatury”. Z kolei tytuły poszczególnych rozdziałów – *Fenomenologia*, *Hermeneutyka*, *Teoria recepcji*, *Poststrukturalizm*, *Psychoanaliza* – sugerują, że czytający otrzyma przegląd konkurujących ze sobą szkół myślenia. W rzeczywistości konceptualna analiza w tej książce jest bardzo wątpliwa, a opis kolejnych metodologii pospieszny. W zamian ujrzeć w niej można podręcznikowy przypadek sprawozdania przeprowadzonego z perspektywy sofizmu psychogenetycznego oraz spekulacji na temat etycznych konsekwencji poszczególnych teorii. Zamiast cierpliwego wyjaśniania terminów i pojęć Eagleton woli niewyraźny szkic, na przykład kiedy pisze:

„Leavis i Husserl zwrócili się ku pocieszeniu konkretem, ku temu, co może być uchwytnie namacalnie [known on the pulses] w czasach ideologicznego kryzysu (to jest po przewrocie, jaki wprowadziła I wojna światowa)”.

Objaśniając poetykę tej lub innej teorii, Eagleton minimalizuje rolę intelektualnego dziedzictwa i ocenia idee ze względu na ich polityczne afiliacje. Wiąże Nową Krytykę z reakcją tak zwanego amerykańskiego Starego Południa na północne uprzemysłowienie, nazywając ten nurt teoretyczny „zaciekłym irracjonalizmem, blisko spokrewnionym z religijnym dogmatyzmem oraz z prawicową polityką »krwi i ziemi« ruchu Southern Agrarians”. Intelektualni ojcowie Nowej Krytyki – Kant, Hegel i Coleridge – nie odgrywają żadnej roli w tak zrekonstruowanej genezie. W rozdziale traktującym o poststrukturalizmie Eagleton poświęca niewiele miejsca na wyłożenie szczegółowych argumentów tej koncepcji. W zamian gromadzi dekonstrukcjonistyczne frazesy – „znaczenie, by tak rzec, nie jest nigdy tożsame z samym sobą” – i na koniec podsumowuje: „Poststrukturalizm to produkt tej mieszanki euforii i rozczarowania, uwolnienia i wyczerpania, katastrofy i katastrofy, jakim był rok 1968”. Kolejny raz kontekst polityczny ma wystarczyć jako źródło i wyjaśnienie jednocześnie.

W konsekwencji Eagleton skupia się w ocenie teorii literackich na ich implikacjach etycznych. Metodologię Nowej Krytyki redukuje do „recepty na polityczną inercję, a tym samym na zgodę, aby trwało polityczne *status quo*”. Jego zdaniem ta postawa zwalniała zwolenników Nowej Krytyki z przeciwstawiania się makkartyzmowi oraz usprawiedliwiała rezygnację z działań na rzecz poszerzenia praw obywatelskich. Z kolei poststrukturalizm sprowadza się, w opinii krytyka, do „wygodnego i całkowitego unikania takich politycznych pytań [jak te o Wietnam, Gwatemalę czy stalinizm]”. Eagleton nie wyjaśnia, w jaki sposób definicja wiersza jako słownego obrazu [*a verbal icon*] lub gry znaków trzyma kogoś z daleka od szturmowania budynków administracji uniwersytetu Columbia. Dopatrywanie się pokrewieństw, jakkolwiek sztucznych, między formalistycznymi analizami, które nie zadają politycznych pytań, a bardziej ogólnym politycznym kwietyzmem, wystarcza Eagletonowi, aby oskarżyć Nową Krytykę oraz dekonstrukcję o wsteczność i złą wiarę⁵. To, w jaki sposób ktoś czyta wiersze i jak angażuje się w życie polityczne, okazuje się tym samym. Daniel Bell może twierdzić, że jest „socialistą w ekonomii, liberałem w polityce i konserwatystą w kulturze”, a historyk sztuki Anthony Blunt może radzić studentom, aby ignorowali politykę podczas nauki, pozostając cały czas powojennym tajnym agentem sowieckim w Anglii, jednak Eagleton i tak forsuje przekonanie, że badaczom nie przysługuje żadna swoboda w modulowaniu swoich działań, albowiem nie ma żadnej różnicy między badaniem a społecznym zachowaniem, pomiędzy nauczaniem a głosowaniem. Ktoś nie może być jednocześnie postępowy w sprawie, na przykład, kontroli posiadania broni czy prawa do aborcji i zachowawczy w kwestiach naukowej metodologii.

Choć książkę *Literary Theory: An Introduction* z trudem potraktować można jako poważne omówienie teorii literatury, taktyka w niej zastosowana zdominowała humanistyczną krytykę. Komentarze na temat ideologicznych okoliczności narodzin danej koncepcji oraz interpretacja jej etycznych efektów przeważają nad analizami merytorycznymi oraz logicznymi wyjaśnieniami. Dokonywanie oceny pojęć i argumentów na podstawie ich politycznego tła i wynikających stąd implikacji stało się nawykiem charakterystycznym dla całej dyscypliny, szablonem postępowania. To naturalna metoda konstrukcjonistycznej epistemologii: perspektywa, która nie rozróżnia między prawdą a jej pochodzeniem i która, trzeba to powiedzieć, nie jest w ogóle epistemologią. Posługuje się językiem epistemologii, lecz nie respektuje epistemologicznych zasad. To jedna z osobliwości społecznego konstrukcjonizmu pozwalająca zrozumieć, dlaczego błędzą ci, którzy atakują go na gruncie pojęć prawdy, dowodów i obiektywizmu. Konstrukcjonisci zapewniają, że prawda jest konstruktem, zależnym od warunków jej odkrycia. Temu twierdzeniu brakuje konsekwencji, ponieważ prawda z definicji pozostaje niezależna od środków, dzięki którym została odkryta. Jeśli natomiast konstrukcjonisci przez „prawdę” rozumieją to, „co za nią uchodzi”, wówczas niekonsekwencja znika, ale od tego momentu nie mówimy

⁵ Idzie w tym krok dalej niż Culler, który dostrzegł paralelę między ideą samowystarczalnej farmy (postulat ruchu Southern Agrarian) a sformułowaną przez Nową Krytykę koncepcją autonomii dzieła literackiego. Zob. J. Culler, *Framing the Sign: Criticism and its Institutions*, Oxford 1988, s. 9.

już o prawdzie w sensie epistemologicznym, lecz w znaczeniu historycznym, to znaczy o tym, co bywa za nią uznawane w różnych miejscach oraz momentach dziejów. Przyjęcie, że coś jest prawdziwe to jedno, a prawdziwość tego poglądu to drugie. Ustalenie tej ostatniej jest rutynowym zadaniem epistemologii. Dokumentowanie pierwszego to tradycyjne dążenie historyka, realizowane zarówno przez Gibbona, jak i przez Sedgwick. W tym zaniechanym odróżnieniu leży nowość społecznego konstrukcjonizmu: jednym słowem, konstrukcjonisci bagatelizują je, mieszając epistemologię z historią, dokonując fuzji tego, co prawdziwe z tym, co za prawdziwe uchodzi, utożsamiając kontekst odkrycia i kontekst uzasadnienia.

Z tych względów badacze uwrażliwieni na tę dystynkcję winią konstrukcjonizm za sianie filozoficznego zamętu oraz metodologicznej nieprawidłowości. Jego antagoniści, jak John P. Searle i Susan Haack, zwracają uwagę, że w konstrukcjonistycznych argumentach kryje się lekceważenie logicznych kwalifikacji, podczas gdy krytycy konserwatywni jak Roger Kimball szydzą z infantylnego relatywizmu konstrukcjonistów. Nieustająca popularność tej szkoły myślenia w akademii wskazuje jednak, że autorzy zarzutów, przy całej ich trafności, nie do końca rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi. Odwołują się do standardów spójności i przejrzystości, które konstrukcjonisci uznają za ograniczone, widząc w nich również konstrukty, nieobowiązujące w konstrukcjonistycznym sposobie myślenia. Poza tym jego obrońcy zacierają przekonania do swoich racji niekoniecznie poprzez propagowaną przez siebie wątpliwą logikę czy relatywistyczne poglądy. Nie przyjmują żadnych fundamentalnych założeń poza jednym, które orzeka: „Nie ma żadnych założeń”. Konstrukcjonisci już dawno zanegowali pojęcia i rozróżnienia, o których nieudolne stosowanie oskarżają ich przeciwnicy. Dopuszczają się sofizmu psychogenetycznego raz po raz, lecz cóż z tego? Skoro definiują wiedzę jako powiązaną z kontekstem jej skonstruowania, to sofizm psychogenetyczny przestaje być błędem – staje się zasadą.

Rzeczywiste pytania, jakie należałoby postawić konstrukcjonistom, nie dotyczą prawdy, lecz taktyki. Uznawszy, że w tym wypadku filozoficzne dysputy są nieistotne, musimy zapytać: jeśli reguły logiki nie stosują się do myślenia konstrukcjonistycznego, to na jakiej podstawie opiera ono swoje twierdzenia? Jeśli wszelka wiedza jest związana z czasem i miejscem jej ukształtowania, to w jaki sposób konstrukcjonistyczna perswazja działa poza jej czasem i miejscem? Jeżeli kontekst odkrycia i kontekst uzasadnienia to jedno, to jak konstrukcjonistyczne dociekania uzasadniają same siebie?

Jedna z odpowiedzi daje się odnaleźć w retorycznych schematach konstrukcjonistycznych orzekań. Ponieważ konstrukcjonistyczne maksymy dekretuje się w akademickim dyskursie w rytualny sposób, wypowiadający je mają tendencję do sięgania po pewną zwyczajową formę językową. Sugerowaną ważność swoich wypowiedzi podtrzymują wówczas często przez pozornie niewiele znaczące słowa i lokucje. W dwóch podanych dalej przykładowych cytatach warto zwrócić uwagę na użycie wyrażenia „z pewnością” [surely]. W pierwszym, pochodzącym z toczonej przy okrągłym stole w PMLA (w 1996 roku) dyskusji na temat dowodów, Stephen Orgel komentuje: „Z pewnością historyczne dowody

zależą od interpretacji. Nawet naukowe od niej zależą". W drugim, zaczerpniętym z recenzji ogłoszonej w „Christian Science Monitor” na temat książki o przyspieszeniu we współczesnym życiu, Tom Regan pisze: „Prędzej [recenzowana książka] pomoże nam pojąć, jak »konstruujemy« czas, ponieważ z pewnością jest to konstrukt” (26 sierpnia, 1999). Czas i dowód to główne przedmioty w tych zdaniach, lecz owo „z pewnością” wystarcza za cały argument. Twierdzenia, że historyczne i naukowe dowody to efekty interpretacji oraz że czas jest konstruktem, to, mówiąc najogólniej, złożone kwestie. Tymczasem „z pewnością” ucina jakąkolwiek próbę wyjaśniania lub dyskusji i czyni tak nie z uwagi na logiczne czy definicyjne podstawy, lecz z powodu niezachwianej pewności mówiących. „Z pewnością” oznacza nie tyle przesłankę lub [jakiś znany mówiącym i ich odbiorcom] dowód, ile postawę. Orgel i Regan wierzą w to, co wypowiadają, i wierzą w to z przekonaniem. Do każdego z tych sądów przynależy pewien stan umysłu, poczucie oczywistości, które unieważnia wszelkie obiekcje. Uznanie tych stwierdzeń za wątpliwe może pochodzić przecież jedynie od ludzi uparcie trwających przy chybiomych sądach; „z pewnością” automatycznie eliminuje tych, którzy myślą inaczej. Każdy, kto nie zgadza się z tymi orzeczeniami, musi poradzić sobie z wykazaniem ich fałszywości oraz przewyciężyć pewność Orgela i Regana.

Nadwyżka przekonania to podstawa konstrukcjonistycznego dowodzenia. Wyrażenie „z pewnością” pełni funkcję eksplicytnego wykładnika utajonej, lecz bezwzględnej zuchwałości ekspresji, charakterystycznej dla tego idiomu. Biorąc pod uwagę rozległość konstrukcjonistycznych idei, ich zwolennicy mogą przedstawiać je niezobowiązująco jako spekulacje, hipotezy lub opinie, tymczasem te natchnione przeświadczenia okazują się czystymi uproszczeniami, których niekonsekwencje są niewybaczalne dla intelektu, a niewykluczono, że i politycznie motywowane. Demonstrowana przez konstrukcjonistów pewność siebie sprawia, że kwestię prawdziwości lub fałszywości przesłanek wypiera w ich argumentacji nastawienie antagonistów. Ponieważ żadnemu oświeconemu umysłowi nie przysłoby do głowy, by powątpiewać w konstrukcjonistyczne założenia, odcinanie się od nich może wynikać jedynie z zawziętej przekory oraz uporczywego odcinających się. Podczas gdy intencje przeciwników podlegają wnikliwej analizie, własne przesłanki konstrukcjonistów pozostają nietknięte. Spór epistemologiczny ustępuje psychologicznym spekulacjom. Rozważmy, na przykład, jak następujące dwie wypowiedzi przyjmują konstrukcjonistyczne idee za pewnik, a zarazem podają w wątpliwość usposobienie tych, którzy ich nie uznają:

„...w dzisiejszych college’ach nic, jak się wydaje, nie budzi w tradycjonalistach większej wściekłości niż idea przygodności wiedzy”. „Ostatecznie pragmatysta wierzy w wystarczalność ludzkich praktyk i nie jest zaniepokojony, kiedy te praktyki ukazywane są jako osadzone w niczym więcej (lub mniej) niż w ich własnych tradycjach i historiach: niemożność powiązania naszych codziennych znaczeń i wartości ze znaczeniami i wartościami mniej lokalnymi nie wywołuje u pragmatysty podejrzeń co do prawdziwości tych pierwszych, lecz do powątpiewania w kształt myśli, która im zaprzecza”.

Pierwsza wypowiedź, autorstwa Paula Lautera, to cytat z posłowia umieszczonego w przewodniku dla akademickiego instruktora *The Heath Anthology of American Literature*. Badacz gromadzi tam refleksje na temat kanonu, edukacji pierwszego stopnia

studiów (licencjatu) oraz przygodnego statusu wiedzy. Nigdzie, w całej książce, nie próbuje udowodnić, że założenie przygodności wiedzy jest słuszne. Nigdzie również nie przywołuje żadnego kontrargumentu. Po prostu przyjmuje taką przesłankę i klasyfikuje wszelkie wypowiedzi zwrócone przeciw przygodności jako przejawy furii. Ponownie postawa oponenta okazuje się istotniejsza niż jego argumentacja, a ponieważ furia implikuje bezradność, charakterystyka Lautera sugeruje, że nie ma żadnego uzasadnionego powodu, aby odrzucać konstrukcjonistyczne założenia. To, że ktoś mógłby zaprzeczać konstrukcjonizmowi beznamiętnie, na gruncie epistemologii, w ogóle nie jest brane pod uwagę.

Druga z wypowiedzi pojawia się w postwoju Stanleya Fisha do zbioru esejów poświęconych neopragmatyzmowi; powtarza się w niej to samo przejście od filozoficznej dyskusji do psychologicznej inspekcji. Godne zauważenia jest, jak bezceremonialnie utrwała Fish ten oparty na zastraszeniu manewr. Po pierwsze, stwierdza, że znaczenia i wartości, nie mogą przekroczyć swojego lokalnego charakteru. Teza o niemożności jakiegokolwiek transcendowania doraźności przedstawiona jest jako logiczna i/lub empirycznie dana konieczność. Po drugie – ktokolwiek nie potrafi uznać tego faktu, nie tyle tkwi w błędzie i zdradza swoją dezorientację, ile ujawnia, że całość „formy jego myślenia” jest „podejrzany”. Kiedy pragmatyście Fishowi rzucają wyzwanie ci, którzy sądzą, że lokalne znaczenia i wartości są „nieprawdziwe”, nie stara się on kontrargumentować na rzecz prawdziwości owych lokalnych znaczeń i wartości, lecz w zamian snuje rozważania, czy jego antagoniści nie są przypadkiem ideologicznie ślepi lub psychologicznie upośledzeni.

Cóż takiego mogło przywieść akademików, w innych sytuacjach wykazujących się przecież odpowiedzialnością, do wprowadzenia w przypadku idei konstrukcjonistycznych tak ograniczonej, oskarżycielskiej i zadufanej w sobie taktyki? Jak udało się konstrukcjonizmowi upoważnić badaczy do porzucenia reguł cywilizowanej dyskusji, zwłaszcza uprzejmości, która wymaga od spierających się uczonych, aby słuchali się nawzajem? Pojęcia konstrukcjonistyczne zyskały status tak oczywistych oraz powszechnie uznawanych, że nikt ich już nie formułuje, chyba że w tonie napomnienia pod adresem profesorów, którzy odstają od partyjnej linii (wiele wypowiedzi zaczyna się od „Musimy pamiętać, że...”). Ci, którzy zgłaszają zastrzeżenia, szybko spostrzegają, że znaleźli się w pułapce dyskusji, kształtowanej na wzór jednej z technik śledczych („my kontra oni”) i wypowiedzianej w beczelnym stylu formułowanych wprost lub insynuowanych domysłów na temat charakteru oraz usposobienia adwersarzy. Niekonstrukcjonisci czują się często nie tyle pozbawiani argumentów, ile poddawani ostracyzmowi. Humanistyka zaczyna przypominać społeczeństwo zamknięte, zmonopolizowane przez słabą epistemologię z potężną retoryką.

Spolaryzowana i spersonalizowana retoryka wskazuje, że społeczny konstrukcjonizm ma podstawy instytucjonalne, a nie filozoficzne, moralne czy polityczne. Podeptał przecież filozoficzne rozróżnienia i praktykuje nieetyczny styl dyskusji. Mimo iż deklaruje polityczne cele krytyki, nie jest stanowiskiem politycznym i nie stał się punktem wyjścia dla żadnego ruchu politycznego. Zyskał niewielu [akademickich] neofitów spoza

wydziałów literaturoznawczych oraz z tych poświęconych rozmaitym „studiom”, a jeszcze mniej poza uniwersytetem. Natomiast tym, co wyróżniło się ze społecznego konstrukcjonizmu, nie jest szkoła filozoficzna lub polityczne stanowisko, lecz wytwór instytucjonalny, a zwłaszcza niezwykła obfitość publikacji badawczych, dyskusji konferencyjnych, prezentacji przedstawianych podczas ćwiczeń i wykładów. Dla wielu humanistów, którzy niedawno zaczęli pracować jako nauczyciele i badacze, społeczny konstrukcjonizm okazał się wyzwalającym i poręcznym narzędziem, postawą, która pozwala znacznie podwyższyć efektywność działań. Zaopatrzył akademików w aksjomaty i system upewnień tak przydatny w pracy. Na tym polega konstrukcjonistyczny sukces: metodologia krytyczna, która wynika z konstrukcjonistycznych przesłanek okazała się nadzwyczaj pomocna w sprostaaniu wymogom nauczania, wykładania oraz publikowania. Mówiąc najkrócej, ta szkoła myślenia najlepiej pasuje, jak się wydaje, do obecnych warunków pracy humanistów.

Najbardziej oczywista przewaga konstrukcjonizmu polega na jego terytorialnej naturze: podważając założenia prawdy i obiektywizmu, konstrukcjonizm umacnia humanistykę jako odrębną całość, wykrawiając z uniwersytetu przestrzeń dla praktykowania interpretacji oraz [badawczego] subiektywizmu. Można łatwo wysledzić ową terytorialną funkcję w wypowiedziach krytycznych formułowanych przez teoretyków literatury oraz studiów kulturowych pod adresem konkurentów – naukowców. Kulturowa krytyka nauki często pojawia się pod szyldem „studiów naukowych” [*science studies*] odsyłających do projektu poświęconego politycznym niuansom naukowych praktyk – na przykład na temat występowania ideologicznie obciążonych metafor w naukowym dyskursie. Celem tych studiów jest dowiedzenie, że nauka jest również konstruktem, w dodatku szczególnie niebezpiecznym, ponieważ uznaje naukowość za coś neutralnego i nieskonstruowanego. Instytucjonalny cel studiów naukowych to ograniczenie nauk do jednej domeny wiedzy oraz ukazanie, że przemawiają nie tyle w imieniu rzeczywistości, ile w imieniu pewnych jej konstruktów. Jeśli przyjmiemy, że uniwersytet ma odzwierciedlać różne rodzaje wiedzy na temat wszechświata, to wówczas ograniczenie kompetencji wiedzy naukowej do praktyki doświadczalnej zabezpiecza humanistykę jako wyjątkowy typ wiedzy.

Jednak o ile obronne stanowisko humanistyki na uniwersytecie propaguje społeczny konstrukcjonizm jako coś w rodzaju podstawowego wyposażenia potrzebnego do wykonywania zawodu humanisty, o tyle w praktyce presja faworyzująca ten pogląd ma często bardziej zwyczajny i przyziemny charakter niż rywalizacja między humanistyką i nauką. Oddziałuje na akademików w indywidualny sposób, a nie ze względu na to, że są przedstawicielami jakiegoś wydziału czy wyznawcami jakiegoś poglądu; mam na myśli raczej takie okoliczności, jak konieczność pomagania kończącym studia studentom oraz doktorantom, decydowania o udzielaniu grantów, uczestniczenia w procesie zatrudniania nowych nauczycieli akademickich, przyznawania stałych etatów, określania czasu trwania urlopów, zakresu obciążeń dydaktycznych czy wzrostu płac. Profesorowie i doktoranci są zobowiązani oceniać teksty, przygotowywać wykłady, przyjmować podania, czytać książki, spotykać się ze studentami pierwszych lat oraz – co najważniejsze – pisać rozprawy i rozdziały swoich przyszłych książek. Ich sukces zależy od tego, jak sprawnie radzą

sobie ze studentami, relacjami koleżeńskimi oraz oczekiwaniami związanymi z badaniami, które prowadzi. Powodzenie mierzone jest często w liczbach: ilu studentów zdołali przyciągnąć, w ilu komisjach zasiadają, ile publikacji (i o jakim zasięgu) wyprodukowali. To styl myślenia, którego praktyka doskonale współgra z czasami: pieniądze, liczby oraz dokumentacja pracy akademickiej stają się zasobem materiałowym, zwłaszcza w dziedzinie handlującej słowami i ideami. Jeśli metody badań i argumentowania wynikające z pewnego zestawu terminów oraz zasad pasują do wykazów i konkurencyjności zawodowego życia, to stosowanie tych metod nie pozostaje bez wpływu na intelektualne przekonania oraz wybory, które decydują o przebiegu kariery.

Na pierwszy rzut oka dopatrywanie się związku między intelektualną postawą a instytucjonalnymi wymogami może wydawać się zabiegiem redukcijnym i wątpliwym. Ta hipoteza umniejsza powody, dla których akademicy wierzą w ten lub inny system przekonań i wyklucza pewne pytania, dokładnie tak samo jak w przypadku sofizmu psychogenetycznego. Moim celem jednak jest wskazanie przyczyn popularności społecznego konstrukcjonizmu, a nie dociekanie jego prawdziwości. Społeczny konstrukcjonizm powinien być analizowany jako przejaw akademickiego „zdrowego rozsądku”. Instytucjonalne wyjaśnienie wydaje się w tym przypadku bardziej wskazane niż intelektualne, ponieważ ten nurt myślenia przeobraził się w krytyczne dogmaty i przyjął taktikę personalnych ataków. Jeśli nie podejmuje się otwarcie spornych kwestii, jak choćby tych, które wynikają z sofizmu psychogenetycznego, jeśli odnieść można wrażenie, że w akademii wytworzyła się atmosfera faworyzująca konstrukcjonistyczne przekonania, to trudno nie podjąć refleksji na temat stanu tej instytucji. Kiedy pewna szkoła myślenia zyskuje taką popularność, że odnosi sukcesy bez specjalnego trudu, nadchodzi moment, w którym zapytać trzeba o system zarządzania, który tej sytuacji sprzyja. Istotne jest, aby odszukać takie konkretne sytuacje w instytucjonalnej rzeczywistości, które pozwolą odsłonić, w jaki sposób społeczny konstrukcjonizm pomaga funkcjonować w akademii.

Jednym z bardziej dotkliwych i trudnych doświadczeń w uniwersyteckim życiu jest oczekiwanie na decyzję posiedzenia, które rozstrzyga o przyznaniu stałego etatu. To wówczas za zamkniętymi drzwiami wyżsi rangą przedstawiciele kadry uniwersyteckiej przesądzają o losie młodszych kolegów. Dla kandydata ta decyzja to jego być albo nie być i najważniejszy próg do przekroczenia. Znalezienie się po drugiej stronie oznacza poczucie bezpieczeństwa na całe życie, pozostanie przed progiem – rozdrabnianie się przez lata na posadzie adiunkta albo nawet utratę pracy w akademii na zawsze. Rozstrzygający o przyznaniu stałego etatu profesorowie traktują więc głosowanie jako decyzję przesądzającą o dalszej egzystencji kandydata i w takiej perspektywie jakiegokolwiek ewentualne obiekcje co do jego osiągnięć kurczą się znacznie i wydają się przejawami małostkowości. Zewnętrzni recenzenci powołani do oceny przedłożonych przez kandydata materiałów oraz wyników badań odnoszą się do swojego zadania zbyt często z mało subtelnym niesmakiem, przysyłając zdawkowe opinie, wypełnione standardowymi formułkami na temat błyskotliwości oraz potencjału. Z kolei administratorzy nadzorujący każdy etap tego procesu zadają sobie po cichu tylko jedno pytanie: „Jak to wszystko

będzie ewentualnie wyglądać na sali sądowej lub w artykule zamieszczonym w »Lingua Franca«?⁴. Niewygodny aspekt finansowy, obawy natury prawnej, wypalenie profesorów oraz osobiste emocje – wszystko to razem sprzysięga się, aby uczynić z posiedzenia rozstrzygającego o przyznaniu stałego etatu dość potworne wydarzenie, podczas którego stronnicy kandydata roztkliwiają się nad nim i wychwalają go przesadnie, natomiast krytycy schodzą do poziomu opryskliwego sceptycyzmu. W tym czasie sam kandydat zastęga w paranoicznym bezruchu: sześć lat studiów uzupełniających i sześć lat uczenia studentów mają być osądzone w ciągu dwugodzinnej konwersacji na końcu korytarza.

Oczywiście, ludzie i instytucje zawsze znajdą sposoby, żeby sobie poradzić. Ostatnio na wielu uniwersytetach odkryto mechanizm zwalniający decydentów od odpowiedzialności: wyznaczano dokładny warunek, który spełnić musi pretendent do awansu – książkę. Jeśli kandydat okazał się nieszkodliwym nauczycielem i sensownym członkiem wydziału, do rozstrzygnięcia pozostaje tylko jedna kwestia: czy zakończył projekt badawczy? Jeśli młodszy kolega ma w ręku książkę lub przynajmniej list z uniwersyteckiego wydawnictwa, to etat staje się faktem dokonanym⁵. Jeśli praca pozostaje w rękopisie, obiecująca, lecz nie ukończona – awansu nie będzie. Na tym polega proste równanie decydujące o zatrudnieniu. Czas do momentu starania się o stały etat skrócono do sześciu lat. Młodszy pracownicy naukowi muszą stawić czoła zdemistyfikowanemu harmonogramowi produkcyjnemu, a starsi przychodzą na posiedzenia rozstrzygające o stałych etatach z formularzem, w którym do zakreślenia mają tylko jedno okienko. Nigdy więcej kłopotliwych dyskusji na temat jakości! Nigdy więcej obaw, czy wydział jest wystarczająco zróżnicowany, czy może zanadto. Administratorzy mają obiektywne kryterium, do którego mogą się odwołać, jeśli komuś z zewnątrz przyjdzie do głowy kwestionowanie procedur. Wymóg dokonania oceny został scedowany na zewnątrz, do uniwersyteckich rad wydawniczych. Adiunktowi przydzielono zadanie, które okazuje się ważniejsze nawet od uczenia studentów: musi nakłonić wydawców uniwersyteckich, aby opublikowali jego dysertację.

Kryterium wydrukowanej książki uprościło proces decydowania o stałych etatach, zarazem jednak fundamentalnie przeobraziło charakter humanistycznej rozprawy. Powstały system zniechęca do badań, które są czasochłonne, wymagają żmudnego tropienia informacji ukrytych w bibliotekach czy archiwach i które mogą w dodatku wieść do wielu ślepych uliczek, zanim ostatecznie doprowadzą do jakiegoś odkrycia. Młodszy pracownik nauki musi przecież wyobrazić sobie projekt, który pozwoli mu napisać książkę i który daje gwarancję realizacji z wyprzedzeniem, przed posiedzeniem rozstrzygającym

⁴ „Lingua Franca” – wychodzący w latach 1990–2001 opiniotwórczy miesięcznik poświęcony intelektualnemu i literackiemu życiu na amerykańskich uniwersytetach; po zawieszeniu wydawania ukazał się wybór artykułów *Quick Studies: The Best of Lingua Franca* pod red. A. Stara, Nowy Jork 2002 (przyp. tłum.).

⁵ Obecnie na amerykańskich uniwersytetach odchodzi się od tej praktyki, stosując w zamian raczej strategię preferowania etatów na czas określony kosztem drastycznego limitowania tak zwanych *tenures*, czyli dożywotnich etatów profesorskich. Zgubne efekty tej praktyki omawia Frank Donoghue w książce *The Last Professors. The Corporate University and the Fate of the Humanities*, Nowy Jork 2008. Ta sytuacja nie wpływa na zmniejszenie popularności społecznego konstrukcjonizmu jako technologii produkcji akademickiej, wymuszanej w realiach korporacyjnego modelu uniwersytetu (przyp. tłum.).

o zatrudnieniu na stały etat, wypadającym zawsze w połowie szóstego roku od przyjęcia do pracy. W sytuacji gdy wydawnictwa uniwersyteckie potrzebują niekiedy dwóch lat, żeby zdecydować o publikacji, badacze aspirujący do pełnego etatu mają zaledwie trzy i pół roku między zatrudnieniem a ukończeniem rozprawy. Książek, które wymagają dłuższych studiów, po prostu nikt nie pisze. Świeżo przyjęci do pracy aklimatyzują się w kampusie, tworzą swój repertuar dydaktyczny i orientują się, jak działa wydział, nie znajdując czasu na zakopanie się w zbiorach rękopisów lub podążanie za niepewną nitką dowodu. Perspektywicznie patrząc badacze unikają w tej sytuacji metod empirycznych, świadomi, że bardzo wiele czasu wymagają narzucane przez owe metody czynności badawcze: sprawdzanie tez dotyczących kultury, uwzględnianie materiałów źródłowych, potwierdzanie związków między faktami a licznymi źródłami, opracowanie dowodów w dostatecznym stopniu ilustrujących wyciągnięte wnioski... Poszukują oni raczej takich modeli badawczych, których założenia są już niejako na swoim miejscu, nie wymagają dowodzenia, i których praktykowanie okazuje się możliwe bez zbędnego rozważania metodologicznych podstaw badań. W rozprawach pisanych z takimi założeniami spekulacja przeważa nad poszukiwaniem faktów, a teoria i polityka nad erudycją. Badacze ograniczają liczbę źródeł do krótkiej listy tekstów podstawowych i podejmują implikowane przez nie zagadnienia, przywołując jedną z popularnych akademickich teorii lub analizując je jako społeczno-polityczny temat. Krótko mówiąc, w obliczu procedury, która ma przesądzić o zabezpieczeniu finansowym na całe życie lub braku pracy, młody pracownik nauki pozbywa się wahań i wybiera taką metodę krytyczną, która sprzyja jego zawodowemu przetrwaniu, metodę, która wymaga krótszego czasu na przygotowanie książki do publikacji, a jednocześnie cieszy się instytucjonalną aprobatą.

Społeczny konstrukcjonizm to jedna z takich wygodnych metod. Ma szerokie poparcie w humanistyce i dlatego ci, którzy decydują się ją zastosować, nie muszą tracić czasu na jej uprawomocnienie. Ta metoda drwi z kategorii empirycznych, określając je z przyganą mianem „nawnego pozytywizmu”, oraz zwalnia uczonych z wymogu dowiedzenia prawdziwości konstrukcjonistycznych przesłanek i uogólnień. Przykłada też mniejszą wagę do strony dowodowej, zapewniając, że przenikliwe odczytanie pojedynczego tekstu wystarcza, aby zilustrować pewną ogólniejszą teoretyczną lub historyczną prawidłowość. Obiektywizm jako ideał upada, ponieważ wymaga uznania przeciwstawnych argumentów i oparcia ich na logicznym lub empirycznym gruncie, podczas gdy konstrukcjonizm życzy sobie jedynie, aby badający określił własną pozycję jako podmiotu w relacji do innych podmiotów-pozycji. Przynajmniej, konstrukcjonizm proponuje, aby studiować zjawiska jako konstrukty historyczne i propozycja ta pociąga za sobą metodę wyliczania poszczególnych historycznych przykładów wraz z wykazywaniem ich zbieżności w tym lub innym przypadku. Jednak w istocie analiza konstrukcjonistyczna rozkłada każdy przedmiot na teoretyczne, polityczne oraz (w niewielkim zakresie) historyczne elementy, z których większość to pospolita moneta obiegowa w akademickim żargonie. Podczas analizowania tekstu lub wydarzenia jako konstrukt badający zawieszają całą kwestię realności przedmiotu oraz prawdziwości konstrukcji. Liczy się tylko konkretna

wersja przedmiotu. Bez jakiegokolwiek obiektywnego standardu pozwalającego ocenić tę wersję znika potrzeba jej pracochłonnego uzasadniania.

Miesiąc temu specjalistyczne czasopismo zwróciło się do mnie z prośbą o ocenę artykułu rozważającego, w jaki sposób Jacques Lacan zaadaptował pewne semiotyczne zasady Charlesa Sandersa Peirce'a. Po przeczytaniu tego eseju zdecydowałem się go rekomendować z uwagą, że Lacan w dużej mierze opacznie zrozumiał argumenty Peirce'a i że autor artykułu powinien omówić te przeinaczenia. W odpowiedzi autor odparł, że to, czy Lacan miał słuszność, czy nie, nie ma nic do rzeczy. Interesowało go tylko, w jaki sposób Lacan „przywłaszczył” sobie Peirce'a. Jak stwierdził, skupienie uwagi na tym, czy Lacan poprawnie zrozumiał Peirce'a, odciągnęłoby od dyskusji na temat twórczego użycia przez Lacana idei amerykańskiego filozofa. Obrona autora była oczywiście wątpliwa z punktu widzenia epistemologii, lecz skuteczna z instytucjonalnej perspektywy. Choć w efekcie autor znalazł się w roli kogoś, kto bezkrytycznie referuje błędne odczytania Peirce'a przez Lacana, zarazem jednak uprościł ogromnie swoje zadanie, oszczędzając sobie fatygi sprawdzania przywłaszczeń Francuza, co wymagałoby studiowania wielotomowego zbioru niełatwych tekstów Amerykanina. Jeśli tylko konserwatywni recenzenci zgodziliby się co do konstrukcjonistycznego charakteru pojęć Lacana, a nie domagali się oceny ich prawdziwości, wówczas esej byłby wydrukowany.

Ta linia obrony szerzy się obecnie w humanistyce, a książki i artykuły, które wskutek tej perswazji powstają, wprost zalewają rynek. Katalogi wydawnictw uniwersyteckich, zapowiedzi książek w humanistycznych periodykach, strony z „listami współautorów” w czasopismach zapowiadają publikacje tego rodzaju jako efekty wysiłków, które przyniosły przełomowe ustalenia i dlatego muszą być koniecznie przeczytane. Mimo tych zachęt i pochwał, większość tych rozpraw znika wkrótce w czeluściach bibliotek, by nigdy ich nie opuścić. Pospieszenie pisane i wyposażone w przewidywalną argumentację, wszystkie są do siebie podobne – niezależnie od oryginalności obiecywanej na skrzydełku obwoluty. Zaczynają się od przywołania uznanych konstrukcjonistycznych przesłanek, wzmocnionych argumentami odwołującymi się do autorytetu („W opinii Richarda Rorty'ego...”) i przypisanych do standardowych ogólników na temat władzy, rasy, gender. Różni je tylko przedmiot badań oraz wybrane do skomentowania teksty i wydarzenia. Zazwyczaj pełne są stylistycznych i kompozycyjnych wad, charakterystycznych dla rozpraw zbyt pospiesznie produkowanych. W ostatnim roku przeczytałem na zlecenie wydawnictw uniwersyteckich sześć rękopisów – każdy o objętości książki – z czego pięć napisanych zostało przez młodych akademików. Wszystkie pięć zwróciłem edytorom wraz ze szczegółowymi instrukcjami, dotyczącymi niezbędnych zmian redakcyjnych. Autorzy tych rozpraw wykazali się znaczną inteligencją i poważnymi motywacjami, lecz z całą pewnością starali się napisać swoje prace zbyt szybko. Zdania sprawiały wrażenie niestarannie sformułowanych i zawierały powtarzające się określenia. Przejścia logiczne były niejasne i przypadkowe, tak jakby kolejne rozdziały następowały po sobie w stylu: „A teraz przyjrzyjmy się...”. Wprowadzenia były zawołowane i chaotyczne, tak jakby autorzy nie zadali sobie wcześniej pytania, ku rozwiązaniu jakich problemów ich projekt ma zmierzać.

A jednak, choć niedopracowanym i niespójnym, tego rodzaju rękopisom udaje się ukazać w druku, a ich autorom uzyskać awans. Taką postać przybierają dziś wyniki badań, a dzieje się tak w konsekwencji wymogu wydajności stawianego humanistycznej profesji. Młodzi akademicy wyczerpują siły, aby opublikować dysertację przed czasem. W rezultacie rynek publikacji przepętniony jest naukowymi efemerydami. Młodzi humaniści nie poświęcają już dekady na zgłębianie problemu i nie dają sobie czasu na szlifowanie tezy oraz cyzelowanie stylu. Długotrwałe studia w archiwach i erudycyjne lektury nie mają już miejsca. Nikt nie pozwala sobie na powtórzenie drogi kariery naukowej, jaką przeszli tacy humaniści, jak René Girard, M. H. Abrams, Paul de Man czy Meyer Shapiro; żaden z tych utalentowanych akademików nie wyprodukował wystarczająco dużo we wczesnych latach pracy zawodowej, aby zgodnie z obecnymi kryteriami zasłużyć na awans. Karani za wybieranie długotrwałych projektów obecni adiunkci mają zbyt mało czasu, żeby w ogóle zamierzyć takie studia jak te, których rezultatem było *Zwierciadło i lampa* Abramsa.

Warunek książki-na-etat dotyczy uczonych z siedemdziesięciu pięciu badawczych instytutów, ale ogólna tendencja, której ów warunek jest jednym z przejawów – czyli przyspieszenie procesu studiowania – ma wpływ na wszystkie dziedziny życia akademickiego. Gdziekolwiek kadra uniwersytecka doświadcza związku między wzrostem płac a własną wydajnością w skali roku lub tam, gdzie wsparcie finansowe dla doktorantów nie trwa dłużej niż cztery lata, preferowane będą metody badawcze sprzyjające zapewnieniu zawodowego bezpieczeństwa. Wszędzie tam, gdzie wydawcy akademicy wolą publikować raczej książki z zakresu cieszących się popularnością studiów kulturowych niż te, które wymagają pracy w archiwach, ambitni uczeni będą wybierać te sposoby postępowania, które pozwolą im dotrzymać kroku bieżącym intelektualnym wydarzeniom. W końcu – wszędzie, gdzie komisje do spraw zatrudnienia lub organizacje przyznające fundusze kładą nacisk na innowacyjne, nietradycyjne metody badań, aplikanci będą w odpowiedni sposób kształtować swoje podania, wystrzegając się posądzenia, iż są niemodni. W każdym przypadku oddanie się z żmudnym i rozległym studiom przyniosłoby im katastrofalne skutki.

Przewaga społecznego konstrukcjonizmu jako metodologii wydaje się banalna: pozwala zaoszczędzić czas. Prawda, fakty, obiektywizm – wszystko to wymaga zbyt wielu lektur, zbyt wielu wizyt w bibliotece, zbyt dużego nakładu czasu poświęconego na zabieganie o materiały sprowadzane z innych bibliotek, przewijanie mikrofilmów, weryfikowanie źródeł, a także – na spojrzenie wybiegające poza horyzont akademickich mód, które przychodzą i odchodzą. Filozofia, która dyskredytuje podstawy takich czasochłonnych badań, jest z zawodowego punktu widzenia błogosławieństwem. Zapewnia swoim wyznawcom alibi, które zwalnia ich z czytania dodatkowej książki, podróży do archiwów czy wśluchiwania się w inną niż własna argumentację. To dlatego konstrukcjonizm stał się dziś tak powszechnym systemem przekonań. To epistemologia na miarę badań w pośpiechu prowadzonych przez uczonych, którym przystawiono do głowy pistolet. Wkrótce po tym, jak humanistyka przystąpiła na model, w którym ocena

uzależniona jest od wydajności, podejście empiryczne i erudycja zaczęły być postrzegane jako instytucjonalne ślepe zaułki, a metodologią najlepszych stał się konstrukcjonizm. Niewykluczone, że początkowo uczeni zaakceptowali go jako pewną propozycję filozoficzną, jednak jego przeobrażenie się w metodę umożliwiającą aroganckie manipulowanie realiami instytucjonalnymi wskazuje, że teraz funkcjonuje głównie jako reakcja na zmieniające się środowisko pracy. Godne pożałowania jest, że humaniści nie potrafili przeciwstawić się standardowi wydajności w momencie, kiedy został im narzucony i że nie nalegali wówczas, aby uznano, że uczeni potrzebują czasu na lekturę, refleksję, na to, żeby wypróbować rozmaite pomysły w sali ćwiczeniowej lub podczas konferencji, jeśli mają odkryć coś, co okaże się trwałe. Jaka szkoda, że byli w zamian zdolni do sklecenia stylu myślenia, który współgra z ilościowym systemem oceny i który nie jest niczym innym niż sposobem na przetrwanie, obowiązującym oficjalnie jako akademicka mądrość naszych czasów.

CYTOWANE KSIĄŻKI:

Terry Eagleton, *Literary Theory: An Introduction*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1983.

Stanley Fish, *Truth and Toilets: Pragmatism and the Practices of Everyday Life* [w:] *The Revival of Pragmatism: New Essays on Social Thought, Law, and Culture*, pod red. Morrisa Dicksteina, Duke University Press, Durham, N.C 1998.

Martin Heidegger, *Bycie i czas*, przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Bogdan Baran, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994.

Paul Lauter, *Postłowie do Instructor's Guide to The Heath Anthology of American Literature*, Houghton Mifflin, Boston 1994.

Stephen Orgel, *The Status of Evidence: A Roundtable*, „PMLA” 111, nr 1 (styczeń 1996).

Tom Regan, recenzja z *Faster: The Acceleration of Just About Everything* Jamesa Gleicka „Christian Science Monitor”, 26 sierpnia 1999.

Eve Kosofsky Sedgwick, *Epistemology of the Closet*, University of California Press, Berkeley 1990.

Summary

Social Constructionism: Philosophy for the Academic Workplace

Social constructionism – currently dominant and passing for philosophical wisdom – an academic belief that any social object, institution, idea etc. is dependent on contingent, historical and social conditions, examined by Mark Bauerlein reveals its limited justification. The author refers to the fundamental epistemological distinction between the contents of knowledge and the context of their emergence. He demonstrates how confusing those two different aspects lead to a well known logical mistake, the genetic fallacy. Yet, Bauerlein aims at reasoning that the actual rationale of social

constructionism is far-distant from its declared epistemological quest and that in reality it consists in mere institutional benefits. Simplifying rhetoric, predictable conclusions and a chance to reduce research time predestine social constructionism to be the excellent methodology for „scholarship in haste”, when productivity standards replaced the model of erudition, reflection and thorough studying.



Sylvia Gibaszek